



TOMASZ ROSTWOROWSKI

Łódź, 27 grudnia 1947 r.

Ks. Tomasz Rostworowski
K. J., Łódź, ul. Sienkiewicza 60

Relacja o zbrodniach na Starym Mieście. Powstanie 1944

Do
Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich
W Warszawie

W odpowiedzi na pismo Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, l. dz. 1173/47
z dnia 12 grudnia 1947, adresowanego do mnie, oświadczam, co następuje:

Na terenie Starego Miasta znajdowałem się istotnie od początku powstania aż do 3 października
włącznie i byłem świadkiem poniżej wyliczonych zbrodni, dokonanych na ludności
i powstańcach.

Tło zbrodni

Po pierwsze, u podstawy zbrodniczych czynów tkwiła propaganda, wmawiająca w każdego
Niemca, że powstanie to nie regularna akcja wojskowa, ale zwykły bandytyzm. Stąd
nienawiść i skłonność do natychmiastowych egzekucji.

Po wtóre, wychowanie hitlerowskie – totalitarne, uważające życie ludzkie, a zwłaszcza
życie nie-Niemca za drobnostkę i potępiające przedłużanie życia kalekom, jako niezdarom
i ciężarowi dla ludzkości.

Po trzecie, Niemcy użyli do zwalczania powstania oddziałów karnych, złożonych z wojskowych rozmaitych formacji, odsiadujących kary w obozach karnych, a przysłanych na frontowe pozycje przeciw powstańcom. Rozmawiałem z dwoma takimi żołnierzami wziętymi przez powstańców do niewoli, obaj przyznali się do tego. Byli ranni i leżeli z powstańcami w prowizorycznym szpitalu przy Długiej 7. Rozmawiałem też z marynarzem niemieckim w dniu 1 października. Razem z dwoma piechurami i jednym SS-manem stanowili oni patrol, przeszukujący piwnice w pogoni za „szipsem” w dniu prowizorycznego zawieszenia broni. Oni to natknęli się na mnie w mojej kryjówce w piwnicy przy ul. Źródłowej 10 (Mariensztat). Wobec zawieszenia broni byli wobec mnie poprawni, natomiast oddziały zajmujące 2 września Stare Miasto miały z małymi wyjątkami postawę pełną nienawiści i żądzy zemsty na bandytach.

Zbrodnie, których byłem świadkiem naocznym

W dniu 2 września 1944 w moich oczach, podczas rozdawania Komunii św. rannym w szpitalu przy Długiej 7 wysoki SS-man zastrzelił ośmiu rannych z rewolweru, podejrzewając ich, że są powstańcami, bo byli młodzi, a starszych podejrzewając, że są Żydami.

W tymże dniu około godz. 3.00 po południu komandor Kotschke z SS, odznaczony podwójnie Żelaznym Krzyżem, bez jednego oka, rudawy, o twarzy zwierzęcej, dowodzący jednostką okalającą Stare Miasto, wszedł na teren szpitala i zdziwił się, że dom jeszcze stoi, podczas gdy był wydany rozkaz podpalić wszystkie domy. Zarządził z wielkim krzykiem, by za kwadrans wszyscy ranni opuścili szpital, bo dom będzie spalony.

Gdy mu zwróciłem uwagę, że to są ciężko ranni, którzy o własnych siłach nie zdołają wyjść, odrzekł, rozkazując stanąć mi na podwórzu pod ścianą wraz z personelem szpitalnym:
– *Kümmern Sie sich nicht um die Kranken, kümmern Sie sich um sich selbst!* Ranni, kto tylko mógł, poschodzili z łóżek, i pomagając jedni drugim, zaczęli wychodzić na ul. Podwale. Gdy minął kwadrans Kotschke zarządził: – *Alle enthunden!* i w moich oczach wysłał kilku podoficerów SS do piwnic, gdzie leżała większość rannych i rozpoczęła się egzekucja. Strzelali każdemu w głowę, a następnie polewali siennik czy materac benzyną i strzałem z rewolweru zapalali. Gdy Kotschke odszedł na chwilę, pobiegłem do piwnic, by się przekonać naocznie o tym, co się dzieje. Buchał

już dym, słysząc było strzały rewolwerowe. Żołnierze ginęli w milczeniu, z powagą. Wszyscy tego dnia rano byli u Komunii św. Sądząc po ilości rozdanych komunikantów i odliczywszy tych, co opuścili szpital przed egzekucją, sądzę, że liczba wymordowanych w szpitalu na Długiej 7 nie przekracza dwustu osób, ale co do stu mam moralną pewność, że zginęli właśnie wówczas.

Świadkiem powyższych zdarzeń jest ks. kanonik Pągowski (zamieszkały dziś w Kutnie, plebania), który wówczas leżał ze zgruchotaną przez pocisk nogą w ostatniej piwnicy. Gdy Niemcy do niej doszli i mieli tam zacząć dalszy ciąg egzekucji, spostrzegli, że im schody się palą, więc zostawili rannych w ostatniej piwnicy na pastwę płomieni, a sami się wycofali. Ranni kocami odpędzali płomienie i przetrwali całą noc i dwa dni następne, aż do nadejścia pomocy. Była to wyprawa Czerwonego Krzyża pod kierunkiem ks. profesora Jakubca (dziś zamieszkałego w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 64, seminarium duchowne).

Gdy wyszedłem z piwnicy, spostrzegłem, że na podwórzu Niemcy legitymują personel i część zatrzymują, a reszcie każą iść ulicą Podwale w stronę placu Zamkowego. Wziąłem pod ręce dwóch rannych, co ledwie się wlekli po ruinach barykady na rogu ul. Kilińskiego i Podwale i tak szliśmy aż do Wąskiego Dunaju. Tu przyskoczyli do nas Ukraińcy (poznać ich można było po mowie i po żółtych wypustkach przy mundurze) i szarpnąwszy mnie za pierś oderwali ode mnie obu rannych i pchnęli ich w kierunku ul. Wąski Dunaj. Siostra jednego z tych rannych, widząc to, pobiegła za nimi i po chwili z wielkim płaczem dołączyła się znów do mnie, popychana przez Ukraińców, wołając z rozpaczą: – „Brata mojego rozstrzelali!”

Sądzę, że tym się tłumaczy grupa zabitych na międzymurzu przy Wąskim Dunaju. Liczba nie powinna była być zbyt wielka, chyba ze dwadzieścia osób, bo ranni, co szli nieco lepiej, dotarli do placu Zamkowego. Tu nas znowu rozdzielono (na rogu, przy kościele św. Anny). Kilkanaście osób zostało, a reszta – i ja z nimi – została skierowana na ul. Mariensztat.

O rozstrzelaniu tej oddzielonej grupy na pl. Zamkowym nie wiem nic konkretnego. Wiem tylko, że kryterium do rozdziału było między innymi pytanie, czy kto zna się na medycynie. Ci co się znali, zostali.

Byłem również świadkiem, jak na placu Zamkowym jakiś SS-man podpalał zwłoki tylko co zmarłej lub dobitej kobiety.

W ogóle przejściu mojemu przez ul. Podwale aż do pl. Zamkowego włącznie towarzyszyły nieustanne strzały rewolwerowe z sąsiednich ulic i piwnic.

Zbrodnie, o których wiem na pewno, że miały miejsce

W kościele św. Jacka i w sąsiednich budynkach przy ul. Freta 10 Niemcy wymordowali podobnie jak na Długiej 7 większość rannych. Świadkiem naocznym tej zbrodni jest ks. Franciszek Kulesza T. J. (Dokładny adres można uzyskać u o.o. jezuitów w Warszawie, ul. Rakowiecka 61).

Los rannych [znajdujących się] „Pod Krzywą Latarnią” (Podwale 25/7) oraz „Pod Czarnym Łabędziem” jest moim zdaniem ten sam co i na Długiej 7, bo tu i tam 2 września 1944 dowodził *kommandor* Kotschke.

Fakty, które podaję w wątpliwość

Szpital Maltański został ewakuowany w porozumieniu z Niemcami w ten sposób, że kierownictwo szpitala, od którego Niemcy żądali natychmiastowego wycofania się po zajęciu terenu przez wojsko niemieckie, wytłumaczyło Niemcom, że jedynym punktem, do którego szpital udać się może jest Szpital Ujazdowski (!). Niemcy zgodzili się na przemarsz dookoła przez ul. Wolską, Żelazną, Pole Mokotowskie itd., ale uformowany pochód, zabrawszy wszystkich rannych, po dotarciu do pl. Żelaznej Bramy skręcił w kierunku ul. Królewskiej i dostał się do powstańców. W Śródmieściu przetrwał aż do kapitulacji. Sądzę więc, że na terenie Szpitala Maltańskiego egzekucji rannych nie było.

Uwagi

1. Los ludności, która opuściła Stare Miasto przed 2 września (były to nieliczne grupki z poszczególnych domów zdobytych przez Niemców) jest mi nieznany. Bliższe szczegóły będą znane ojcom franciszkanom (róg Freta i Zakroczymskiej).
2. Niemcy zamordowali jednego z księży michalitów z miejscowości Płudy w chwili, gdy przeprowadzał grupę kilkudziesięciu wychowanków ewakuowanych z Płud przez

most Kierbedzia, plac Saski i Ogród Saski w kierunku Hal Mirowskich. Zastrzelili go, gdy przeprowadzał swą gromadkę przez Ogród Saski. Strzelono do nich z tyłu. Drugi kapłan otrzymał również postrzał w szyję i dotąd żyje (wiadomość w Zakładzie św. Andrzeja Boboli w Płudach, ks. michalici).

3. Od 2 września godz. 4.00 po południu przebywałem w ukryciu w piwnicy przy ul. Źródłowej 10, odłączywszy się niezauważenie od słabo konwojowanej grupy rannych i personelu. Przebywałem tam aż do 3 października włącznie. W tym czasie, dokładnie 1 października o godz. 4.00 po południu, Niemcy mnie odnaleźli przypadkiem i polecili wynosić się, co uskuteczniłem w dwa dni później.

Ks. Tomasz Rostworowski